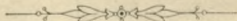


LISTY Z PERUWII

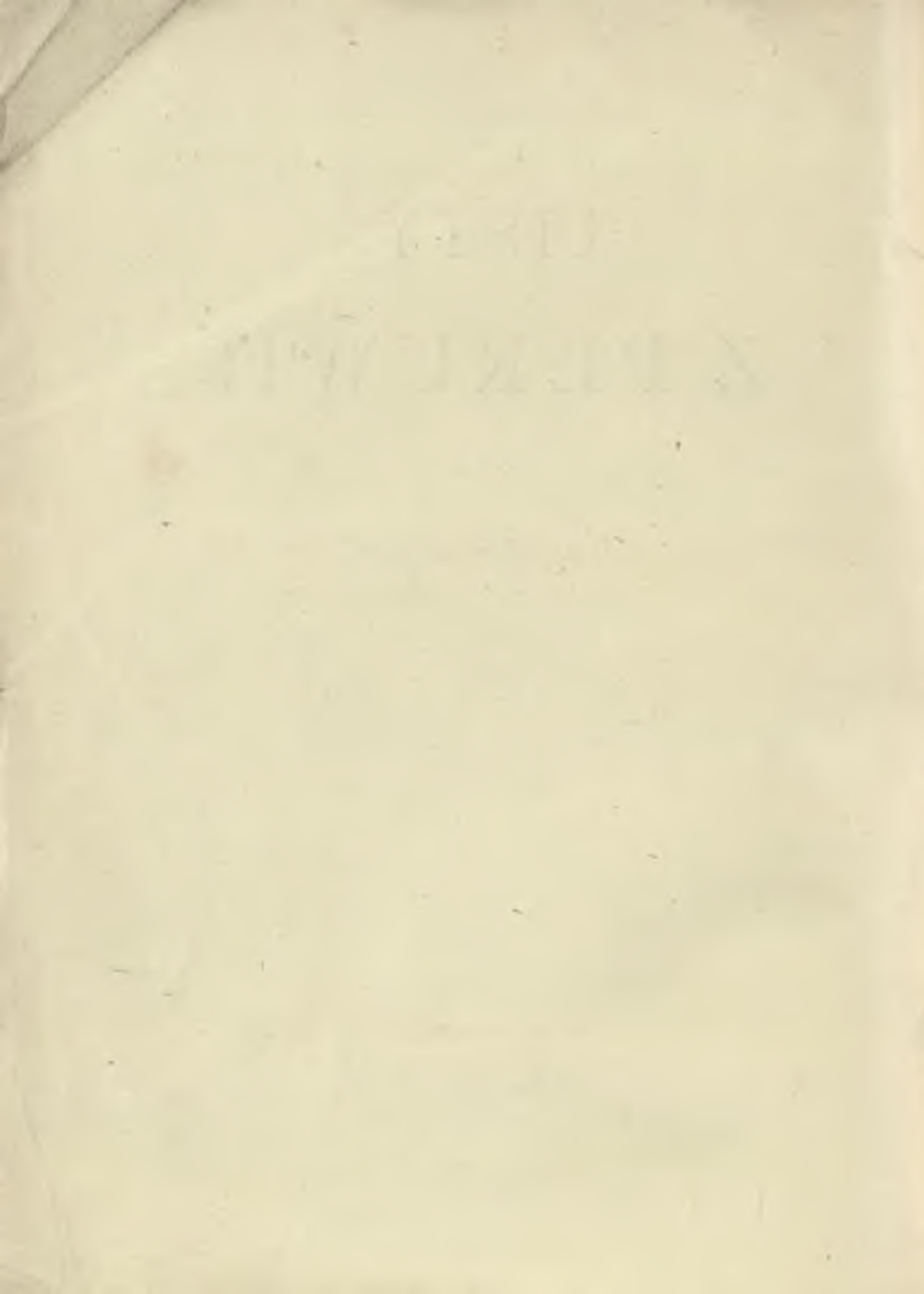
skreślił

Władysław Kluger

Inżynier Rządowy i Profesor Szkoły inżynierskiej w Limie.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI Drukarni „CZASU“
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1877.

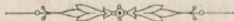


LISTY Z PERUWII

skreślił

Władysław Kluger

Inżynier Rządowy i Profesor Szkoły inżynierskiej w Limie.



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“
pod zarządem J. Łakocińskiego.

1877.

LISTY

N. P. E. R. T. W. I. I.



Osobne odbicie z „CZASU.” — Nakładem Autora.

Lima 13 maja 1875 r.

Wczoraj dopiero powróciłem z gór zwanych *Cordillera de Huarochiri*, gdzie, jak wiesz z moich poprzednich listów, miałem pojechać w celu obejrzenia robót hydraulicznych tamże prowadzonych. Stósownie do mego przyrzeczenia, choć nie łatwo było mi je dotrzymać, zważywszy na zimno i na *soroczi* (sorochi), które mnie nieznośnie prześladowały, zacząłem opisywać na miejscu wrażenia moich podróży, chuchając w palce i rozgrzewając przy ogniu zamarznięty atrament. Dziś kończę pospiesznie me listy, aby skorzystać z parowca wychodzącego do Panama.

Zrazu miałem zamiar opowiedzieć ci szczegółowo me przeprawy przez wiecznym śniegiem pokryte góry, opisać: klimat, roślinność i ludność przebywającą w lodowatych wyżynach kordylierskich, a przede wszystkim dać ci poznać technicznie owe roboty, przedsięwzięte przez rząd Peruwiański u źródeł rzeki *Rimac* dla uregulowania jej biegu, ale dostawszy się na miejsce mego przeznaczenia, postanowiłem ograniczyć się na

opisaniu drogi żelaznej, wiodącej z *Lima* do *Oroya*, jako najciekawszej części mej podróży, odkładając na później dalszy ciąg mego opowiadania.

Zaczynam od nazwiska autora tego olbrzymiego dzieła, inżyniera Ernesta Malinowskiego, który na swą i imienia polskiego chwałę nietylko pierwszy podał myśl połączenia żyznych dolin Amazonki z Oceanem Spokojnym, ale jeszcze myśl tę w wykonanie wprowadził. I bez przesady powiedzieć można, że jeżeli wielką, polityczną i ekonomiczną była myśl zaludnienia dziewiczego stołu Andów, zaszczerpienia cywilizacji, przemysłu i handlu wśród bogatych lasów, przerziętych najwspanialszymi rzekami spławnymi, o jakich tylko marzyć można, to znowu wykonanie podobnego pomysłu wymagało wiele odwagi, zmysłu inicjatywy i znajomości sztuki inżynierskiej. Wzniesie się z ciężkim pociągiem parowym na blisko 5,000 metrów po nad poziom morza w stosunkowo tak małej odległości, która oddziela Ocean Spokojny od szczytu Andów, przełamać naturalne przeszkody, napotykanne w konwulsyjnie utworzonych górach Kordylierskich, nie zważać na śnieg, pioruny i brak powietrza, który na tej wysokości zaczyna odmawiać przystępu wszelkiej istocie żyjącej, oto zadanie równie trudne i zuchwałe, jak użyteczne i godne podziwu.

Historia tej kolei jest bardzo krótka i niedawna. W roku 1859 p. Malinowski przedstawił po raz pierwszy ówczesnemu prezydentowi Rzeczypospolitej potrzebę otwarcia przystępu do skar-

bów roślinnych i mineralnych, nagromadzonych we wnętrzu Peruwii, jako najpewniejszy sposób zabezpieczenia przyszłości tego kraju; ale rozruchy, wojny domowe i zajęcia polityczne stały ciągle na przeszkodzie do urzeczywistnienia tego planu; aż do roku 1869, w którym rząd pułkownika Balta zadekretował sumę 27 milionów soles (136 milionów franków) na zbudowanie kolei żelaznej, któraby wychodząc z portu *Callao*, dochodziła doliną rzeki *Rimac* na drugą stronę Andów do wioski *Oroya*, położonej na progu osławionych okolic *montanna*. Naturalnie wybór tej drogi był owocem licznych badań i dyskusyj, podsycanych przez właścicieli ziemskich mających swe posiadłości w innych dolinach ze szczytu Andów zstępujących, mianowicie w dolinach *Chancaj* (Czankaj) i *San Damian*, obydwóch równie urodzajnych, jak dolina rzeki *Rimac*, a prowadzących: pierwsza do sławnych kopalni srebra *Cerro de Pasco*, druga zaś ku żyznym brzegom rzeki *Jauja* (Hauha). Ale droga przez dolinę rzeki *Rimac* przedstawiała nietylko pod względem technicznym lepsze warunki od dwóch drugich, ale zalecała się tem jeszcze, że prowadzi wprost ze stolicy do okolic *Chancaj* (Czanczamajo), słynnych ze swych płodów roślinnych i leśnych, a ułatwia zarazem i przystęp do *Cerro de Pasco* i do *Jauja*, leżących jedno na lewo, drugie na prawo końca projektowanej kolei. Zgodzono się więc na linię *Lima-Oroya* i w tydzień po podpisaniu dekretu rozpoczęto roboty.

Linia kolei zaczyna się w *Callao* i dochodzi w zwykłych warunkach do *Lima*, gdzie wsiadłem do wagonu około godziny ósmej rano. Przejechawszy mosty *Puente viejo* i *Puente Balta*, niebawem straciłem z oczu wieże i budynki stolicy, bo miejsce ich zajęły wspaniałe plantacje trzciny cukrowej, poprzerzynane kolejami żelaznymi, na których zwykli tu zwozić trzcinę do *Hacienda* (dwór wiejski) za pomocą małych lokomotyw. Napawając się widokiem zieloności zalewającej dno tej doliny *Rimac'a*, której ściany nagie i żółte odbijają jaskrawie na błękitnem tle nieba, wznosimy się wolno wzdłuż lewego brzegu rzeki, mijając tu i owdzie nowoczesne *chacra* (folwarki), albo opustoszałe gruzy dawnych wiosek indyjskich i kanałów irygacyjnych, świadczących o przemyśle ówczesnej ludności.

Po dwóch godzinach jazdy stajemy w *Chosica* (Czosika). Dworzec kolei porządnym, hotel wygodny i otoczenie smutne, brak różnorodności i zieloności, bo tu ni wieś ni miasto, ale poprostu nędzny folwark otoczony puszciami piasku. Pomimo tego mieszka tu zawsze kilka rodzin dla poratowania zdrowia, bo jak się zdaje, powietrze kordylierskie jest doskonałym lekarstwem na choroby piersiowe i płucne. Począwszy od *Chosica* dolina *Rimac'a* zaczyna zwężać się stopniowo i przybierać coraz to większe spadzistości, tak że dojeżdżamy do *Coca-Chacra* ze spadkiem blisko 4%, co jak Ci wiadomo, wyobraża największą pochyłość, po jakiej postępować

może zwyczajny pociąg parowy. Nieco wyżej w *San Bartolomeo*, to już ciasny wąwóz, zalany pieniącami się wodospadami rzeki; po drodze wykutej na pochyłości góry pociąg nasz wznosi się nieustannie, ale pomimo wszystkich wysiłków nie może wydażyć za rzeką i niebawem zwyciężony w tych szalonych wyścigach staje nad jej brzegiem, nie mogąc postąpić naprzód, ani skrócić w bok dla zyskania wysokości, bo z obu stron i z przodu spadziste góry nie dopuszczają zakrzywienia drogi żelaznej. To też cofamy się w tył, wagony przechodzą na inne szyny i pchane lokomotywą wznoszą się na pewną wysokość, gdzie znowu w zygzak zmieniamy drogę żelazną, lokomotywa na nowo przodem pnie się po stromej ścianie góry, jak wąż wije się po falistym gruncie, raz zawieszona nad przepaścią, to znowu w głębokim wykopie. Przejeżdżamy kilka tuneli, koła wagonów świerszczą na nagłym zakręcie drogi i niebawem ukazuje się wspaniały wiadukt *Verrugas*, najwyższy na świecie, bo mający blisko 90 metrów w środku. Dreszcz przebiega na myśl, że nasz ciężki pociąg ma przebiec po tej tkaniu żelaznych prętów, podpartych zaledwie co 40 metrów ażurowym słupem żelaznym, gubiącym się w dnie przepaści. Widok ztąd piękny, ale dziki i ponury, jak historia tej miejscowości; wymarło tu bowiem tysiące robotników tkniętych straszną chorobą *Verrugas* do tego miejsca przywiązana, a pochodząca, jak jedni mówią, z wody tam płynącej, a drudzy, z wyziewów wydobywają-

cych się przy kopaniu ziemi. Dotąd nie znają jeszcze ani jej prawdziwej przyczyny, ani lekarstwa; wiadomo tylko, że jest śmiertelną, gdy tknięty nią chory nie pokryje się wrzodami krwistymi, działa bowiem wtedy wewnętrznie, dziurawi kiszki i zabija; wiadomo także, że jednemu dość było przejechać raz tędy, by paść jej ofiarą i że drugi żył tu bezpiecznie lat parę. Ale liczba tych ostatnich jest bardzo mała i jak mnie zapewniano, przeszło dziesięć tysięcy ludzi przypłaciło śmiercią swój pobyt przy robotach.

Przejechawszy wiadukt Verrugas na nowo zbliżamy się do dna doliny, choć szyny wiodą ciągle w górę; ale pochyłość rzeki jest tak wielka, że pomimo ciągłego wznoszenia się, dochodzimy w *Surco* znowu do poziomu wody. Rzuciwszy się trzy razy z jednego brzegu na drugi, kręcąc się prawie w miejscu, ale wnosząc się nieustannie, dostajemy się nareszcie na wysokość *Matucana* t. j. na 2,300 metrów ponad poziom morza. Wioska *San Mateo*, przez którą jechać wypada, leży już bardzo blisko, ale chcąc dostać się na 3000 metrów, trzeba znów przedłużyć linię kolei, spinać się po skarpie góry, wracać ku *Matucana*, jechać w zygzag i rzucić się na nowo na drugi brzeg rzeki, z kądem w rozszerzonej nieco dolinie widać malownicze chaty indyjskiego *pueblo*. Niebawem widnokrąg znika zupełnie; pod nami rozpadlina o ścianach pionowych, gubiących w obłokach swe szczyty, a otoczonych u spodu przez gwałtowny, pieniący się potok górski; wokół

skały trachitowe i porfirowe wysterczające na zewnątrz i grożące co chwila upadkiem. Naturalnie byłoby szaleństwem prowadzić kolej wzdłuż tej strasznej przepaści; więc też pociąg wjeżdża w tunel, przerysna w poprzek rozpadlinę za pomocą żelaznego mostu, z którego na nowo pod ziemię wjechawszy, wydostaje się na zewnątrz w pobliżu doliny zwanej *Rio Blanco*. Widok z mostu łączącego obadwa tunele jest nie do opisania; jest to zarazem wielkie i ponure, godne nazwiska *Piekiła* (*Infernillo*) przydanego tej miejscowości; ale piekło to jest piękne, ubrane: w wodospady, pieczary, różnokolorowe skały pokryte wiecznym cieniem, a odbijające tysięcznym echem szum pieńiącego się potoku. Jakże dziwnie na tem tle dzikiej, niedostępnej natury odbija, lekki most żelazny, po którym jak wiadomo, przebiega od czasu do czasu kunsztowna lokomotywa, gubiąca się w ciemnej paszczy tunelu.

Po za doliną *Rio Blanco*, przetrziętą wiaduktem mającym 100 metrów długości, dolina przybiera charakter wyżyn kordylierskich, t. j. rozszerza się bardzo znacznie i tworzy dość duże równiny, po których splywa spokojny strumyk, ten sam, co nieco niżej rozwała skały i pieni się w wodospadach. Żeby jednak dostać się na szczyt Andów, trzeba jeszcze zrobić trzy duże zakręty, jeden w pobliżu stacyi *Chicla*, drugi przy *Cosapalca*, wreszcie trzeci i najdłuższy, bo mający siedm kilometrów długości, w dolinie *Chinchan*, otoczonej śnieżnymi górami. Wkrótce potem wy-



kuta w skałę droga gubi się w wnętrzu góry: to ostatni tunel (1173 metrów długości) 4800 metrów ponad poziom morza wzniesiony, od którego począwszy, zacznie się zjeżdżanie na drugą stronę Andów.

Od *Chicla* jechałem konno, bo kolej jeszcze nieskończona. Okolica smutna, pozbawiona roślinności; termometr spada coraz więcej w miarę jak słońce zachodzi, wreszcie o zmroku gęsty śnieg padać zaczyna. Nieprzyzwyczajony do podróży po Kordylierach, wkrótce doznaję skutków rozrzedzonego powietrza: ból głowy, brak oddechu i wymioty, słowem *sorochi* (soroczi) choroba górską wywołana nagłą zmianą ciśnienia atmosferycznego. Jest to coś podobnego do choroby morskiej, tylko jest od niej o tyle niebezpieczniejszą, że może sprowadzić apopleksję u osób krwistych, a głównie podpiłych, jak się to już kilkakrotnie zdarzyło na linii Oroyskiej.

Jestto bez wątpienia i bez żadnego porównania najwyższa kolej na świecie, bo wznosząca się począwszy od morza na wysokość równą szczytowi najwyższej góry europejskiej *Mont-Blanc*, wszystko to wśród przepaści, skał i przeszkód wszelkiego rodzaju, do zwalczenia których potrzeba było wywiercić 35 tuneli, stanowiących razem 5 kilometrów długości, i zbudować dwadzieścia mostów i wiaduktów. Ale też doprowadzenie do skutku tego olbrzymiego dzieła kosztuje dotąd 135 milionów franków, a ukończenie linii i doprowadzenie jej do owych miejscowości, które płodami

swemi mają kiedyś zapłacić koszta budowy, pochłonięte jeszcze nie małe kapitały. Na nieszczęście Peruwia znajduje się teraz w bardzo przykrem położeniu. Zadłużona, bo mająca przeszło miliard franków do zapłacenia, walczy dziś prawie z nędzą, by zaspokoić codzienne potrzeby; bogate pokłady guana przynoszące dotąd rządowi około 80 milionów franków rocznie, zaczynają się wyczerpywać, kopalnie srebra zalała woda, wszystko to bogactwa zmarnowane, które zamiast demoralizować mieszkańców tego kraju, powinny były zapewnić im przyszłość na zawsze. Ale też właśnie kolej Oroyska będąca dziś ciężarem dla kraju, ma być jedną z tych dźwigni, które go z nędzy podniosą i na tem właśnie polega zasługa jej autora. Nie myśl zaś, żeby to było chimera, bo Peru pomimo swej ruiny, do której przywiodła go opieszałość, lekkomyślność i brak prawdziwej cywilizacji, obfituje jeszcze w bogactwa naturalne, które za małym zachodem zbierać można. W górach kopalnie: złota, srebra, rtęci, miedzi i ołowiu; na wybrzeżu olej skalny; tuż pod powierzchnią ziemi węgiel; a głównie saletra pokrywająca całą niemal prowincję *Tarapaca*. Cóż dopiero mówić o rolnictwie i o jego płodach. Od strony morza ryż i bawełna, a głównie trzcina cukrowa, rosną w istne lasy, o których tylko wyobrażenie dać może bujna vegetacja Antyllów. Trzcina cukrowa uprawiana głównie w dolinach: *Cannete*, *Lurin*, *Huacho*, *Chancay*, *Rimac*, *Lambayeque*, wytrzymuje ośm do dziesięciu żniw, zanim nową

plantację sadzić potrzeba; a olbrzymie fabryki wyrabiające 500 do 800 centnarów cukru dziennie, przynoszą rocznie każda od 4 do 5 milionów franków. Wreszcie winorośl na wielką skalę uprawiana w dolinach *Pisco* i *Moquegua* daje wódkę przez znawców wielce cenioną i wino *Moquegua*, powszechnie w kraju używane. Idąc znowu w kierunku do morza prostopadłym, t. j. wstępując na zachodni stok Andów, gdzie klimat nieco chłodniejszy zbliża się do naszego, napotykamy: zboże, owies, jęczmień, ziemniaki i kukurydzę; z drugiej zaś strony Andów na ich wschodnim stoku *montanna* zwanym, odwieczne lasy pełne cedru, mahoniu i palisandru, bajecznie obfite w drogocenne zioła i krzewy, dające chininę, kaczuk, wanilię, sasaparyllę, kawę, kakao, kokę i t. d.

Także pod względem klimatu Peruwii jest szczęśliwszą od innych krajów podzwrotnikowych. W Bengalu naprzykład, w Senegalu, w Brazylii, a wogóle we wszystkich krajach gorących a suchych, deszcz pada właśnie w porze największych upałów, tutaj zaś przeciwnie się dzieje; deszcze padają w porze roku chłodnej, a tem samem są mniej dla rolnictwa niebezpieczne, jak owe ulewy spadające nagle na rozpaloną ziemię. Ztąd też charakter roślinności tutejszej jest mniej od innych tropikalny, ziemia więcej sposobna do uprawy roślin ze strefy umiarkowanej pochodzących, a żniwa i zbiory daleko pewniejsze.

Pomimo tylu szczęśliwych warunków Peru jest

dzisiaj bardzo zacofane pod względem przemysłu i handlu. Najbogatsze kopalnie srebra, rtęci itp. są wodą po części zalane, po części zasypane; o węglu krajowym mało kto myśli, sprowadzają go z Anglii po cenach bajecznych. Zboże sprowadzają z Chili, patrząc obojętnem okiem na gnijące na pniu płody doliny *Jauja*, położonej o 40 mil od Lima i mogącej stać się niewyczerpanym śpichlerzem całej Rzeczypospolitej. A cóż dopiero mówić o owych lasach dziewiczych, któreby same przez się nie jeden z krajów Europy z nędzy wydzwignąć mogły; wałą się pyszne drzewa robakiem stoczone, albo strzaskane piorunem, podczas gdy Peru sprowadza z Kalifornii drzewo buldowce.

Naturalnie główną tego przyczyną jest brak dróg komunikacyjnych, otwierających osadom cudzoziemskim wstęp do wnętrza kraju i ułatwiających wywóz płodów roślinnych i mineralnych. Drugim zaś powodem tej stagnacyi przemysłowej były nieszczęśliwe stosunki socyalne, brak oświaty i wojny domowe. Doskonale położenie to pojął i ocenił dzisiejszy prezydent Rzeczypospolitej, nadając polityce krajowej charakter czysto cywilny, oparty na prawie a nie na mieczu, jakto dotąd miewało miejsce; głównie zaś dając poznać krajowi pracę i oświatę, jako niezawodny sposób ratunku. W tej reorganizacyi Peruwii imię polskie odznacza się nietylko na polu przemysłu, ale także pod względem naukowym; obok bowiem Ernesta Malinowskiego równie godne miejsce

zajmuje inżynier Edward Habich, twórca i dyrektor pierwszej w południowej Ameryce Szkoły Inżynierów, mającej się niebawem otworzyć w Lima; dalej Władysław Folkierski inżynier i dziekan Wydziału nauk matematycznych, fizycznych i naturalnych w Uniwersytecie Limeńskim, któryto Wydział zawdzięcza mu swe wskrzeszenie i przyszłość; inżynier Ksawery Wakulski, profesor jednego z najważniejszych przedmiotów w przyszłej szkole inżynierów; naturalista Konstanty Jelski znany ze swych odkryć w dziedzinie Fauny peruwiańskiej; architekt Tadeusz Stryjeński; inżynier górniczy Aleksander Babiński, autor najnowszej mapy Peruwii, zajmujący się obecnie projektem osuszenia słynnych na cały świat kopalni srebra w *Cerro de Pasco*; wreszcie autor niniejszego listu a Twój przyjaciel.



Tacna 17 marca 1876 roku.

Wiele już czasu upłynęło od mego ostatniego listu, w którym przyrzekłem, donosić ci często o sobie; ale nie moja w tem wina, bo wyjechawszy nagle z Limy, w okolice zupełnie odludne i pozbawione łatwych komunikacyj, nie mogłem dotrzymać przyrzeczenia mimo najlepszych chęci z mej strony. Za to dzisiaj znudzę cię obszernym opisem mych świeżych podróży, w których miałem sposobność zapoznać się z południową stroną Peruwii i Kordylierami.

Niespodzianie dnia 24 sierpnia zeszłego roku mianowano mię naczelnikiem wyprawy, mającej zbadać pod względem topograficznym i hydraulicznym część Kordylierów, zawartą mniej więcej między 17 i 19 stopniem szerokości geograficznej; a to w celu zaprowadzenia irygacyj w żyznej, a mało uprawianej dolinie *Tacny*, za pomocą wody z rzeki *Maure* sprowadzonej. Rzeka ta mająca swój początek na wschodnim stoku Andów, bieży w kierunku wschodnim wzdłuż granicy Boliwii przez mil kilkanaście i wpada do *Desa-*

guadero, w miejscu odległym mniej więcej o 120 kilometrów od południowego krańca jeziora *Titicaca*. Jakkolwiek znana zaledwie z opisu podróży, rzeka *Maure* zwracała już od dawna na siebie uwagę mieszkańców departamentu Tacna, posiadającego niezmierne błonia do dziś dnia ni żdźbłem trawy niepokryte; długi czas proszono i nalegano, by rząd zajął się jej sprowadzeniem na wybrzeże peruwiańskie za pomocą sztucznego koryta; ale mania budowania kolei żelaznych, które pochłaniały znaczną część funduszków krajowych, stała ustawicznie na przeszkodzie; tak, że dopiero obecny prezydent Rzeczypospolitej postanowił zaspokoić żądania owego departamentu, dając rozkaz zrobienia studyów przygotowawczych. Zadanie polegało na tem, by przeciąć w odpowiednim punkcie naturalne koryto rzeki *Maure*, której wody płyną ku Oceanowi Atlantyckiemu, i prowadząc je sztucznym kanałem przez mroźne wyżyny *Andów*, dotrzeć do wyniosłego pasma gór, zwanego *Cordillera de la costa*, które oddziela wybrzeże Oceanu Spokojnego od wschodniej części Peruwii; pytanie tylko, czy w tej zaporze znajdzie się przejście sposobne.

Tak właśnie rozważałem, gdy rzuciwszy okiem na świeżo mi przysłany rozkaz rządowy, spostrzegam ze zdziwieniem, że termin mego wyjazdu wyznaczony na pojutrze i że żądają ode mnie jak najprędzej listy: ludzi, instrumentów i funduszków potrzebnych do wyprawy. Biegnę więc do ministerjum, tłómaczę niemożebność tak prędkiego

wyjazdu z powodu innych urzędowych zajęć, przedstawiam trudność ułożenia kosztorysu podróży po kraju mi nieznanym i wyrażam otwarcie moją nieświadomość co się tyczy czasu potrzebnego do zrobienia studyów, opierając się na zupełnym braku map geograficznych okolicy. Na te wszystkie uwagi otrzymuję zawsze jedną i tę samą odpowiedź: „To rzecz pańska; liczymy na to, że pan pojutrze wyjedzie — prezydent życzy sobie tego.“ Wiedziałem już z doświadczenia, że w Peru wszystko się robi szybko, albo wcale się nie robi; więc żeby kuć żelazo póki gorące, porzucam me rozpoczęte roboty, zabieram instrumenta miernicze, dwóch pomocników inżynierskich i w dzień naznaczony wsiadam na statek parowy.

Trzy są kompanie parowców rywalizujących z sobą w przewozie podróżnych i towarów od *Callao* do *Valparaiso*: kompania chilijska wysyłająca raz na tydzień swe statki i dwie angielskie kompanie, z których jedna wiezie pocztę do Europy co piętnaście dni przez cieśninę Magiellańską, druga zaś dwa razy tygodniowo do *Valparaiso*. Są to piękne statki szrubowe mogące pomieścić 600 podróżnych, ale *Santa Rosa* jest tak przepelniony w skutek niższych cen przewozu, że pierwszą noc wypada mi spać w salonie wspólnym, w braku kajuty osobnej. Dopiero nazajutrz przybiwszy do *Pisco*, żegnamy z zadowoleniem znaczną część podróżnych udających się do *Jca*, stolicy departamentu tegóż nazwiska. Godzina właśnie południowa; gwar, hałas i ścisk na pokładzie; na dol-

nym pomoście niezrozumiałe wołania majtków przy akompaniamencie hałaśliwych machin parowych, puszczonech w ruch dla wyładowania towarów i windowania beczek wina i wódki w dolinie *Pisco* przyrządzonej; na górnym krzykliwie targi i sprze- czki przekupek indyjskich, przybywających co tchu na parowiec dla zarobienia paru groszy na sprze- daży owoców; wszystko to pośród biegań, kuła- ków i reklamacyj świeżo wsiadających podróżnych, ciągnących za sobą do kajuty: kufry, skrzynie, pudła i inne ruchomości. Wreszcie głośny dzwon parowca daje sygnał odjazdu; pole bitwy przenosi się na pełne morze; co żyje rzuca się na spadzi- ste schodki spuszczone na zewnętrznej stronie okrętu, by dostać się do łódki; otyła *Chola* (*Czolo*, krew indyjska zmieszana z hiszpańską), z dzieckiem na plecach, obładowana koszami wi- nogron, palt, czylimonii, grenadyń, o włos, że nie wpada w wodę, bo ją naraz pięciu przewoźników każdy na swą łódź ciągnie. Wreszcie schody wy- ciągnięte, strzał armatni daje ostatni sygnał od- jazdu i potężna machina parowa zaczyna swe je- dnostajne stukanie.

Życie na statku wygodne, ale nudne wskutek jednostajności widoku na piaszczyste, żadnym krzewem nie pokryte wybrzeże. Gdzieniedzie tyl- ko skaliste wyspy, ubrane w białą powłokę guana, albo obsiadłe mrowiskiem wilków morskich nie- zmiernej wielkości, gdzieniedzie wioska a raczej osada rybacka, albo nędzny porcik prowincjonal- ny o kilku domkach z trzciny na piasku zbud-

wanych. Mijamy niegodne miana portu *Mollendo*, wysadziwszy podróżnych jadących ku *Arequipa* i *Puno*, i dnia piątego po wyjeździe z *Callao*, rzucamy kotwicę w spokojnej zatoce miasta *Arica*.

Arica jest po *Callao* jednym z pierwszych portów Peruwii, nie tylko jako przystań pod względem topograficznym, ale także co się tyczy handlu i położenia geograficznego; jest to bowiem główna brama, przez którą aż do lat ostatnich przechodzić musiały towary zagraniczne sprowadzane do Boliwii, w zamian za miedź i srebro wydobywane z bogatych kopalń tego kraju. Od czasu zbudowania kolei od *Mollendo* do *Puno*, i zaprowadzenia regularnej żeglugi na jeziorze *Titicaca*, *Arica* zaczęła tracić na swem znaczeniu politycznym; ale mimo tego stanowi jeszcze dzisiaj razem z miastem *Tacna* najwięcej uczęszczaną drogę *Boliwii* i przynosi rządowi peruwiańskiemu w przecięciu 80 tysięcy soles (400000 franków) miesięcznie za opłaty celne. Pod względem powierzchowności *Arica* szczyli się tylko swym pięknym budynkiem komory celnej, zbudowanym przez rodaka naszego Edwarda Habicha i dość szpetnym kościołem żelaznym z Nowego Yorku sprowadzonym; reszta leży w gruzach, bo pamiętne trzęsienie ziemi dnia 13 sierpnia 1868 roku nie pozostawiło kamienia na kamieniu. Czego nie zburzyło trzęsienie, to zabrała woda. W pół godziny po runięciu miasta, morze z brzegów swych występować zaczęło; stojące na kotwicy statki parowe, jeden wojenny północno-

amerykański, drugi kupiecki angielski uniesione szalonym pędem cofającego się morza, nadaremne robiły wysiłki, aby się utrzymać na pełnym Oceanie; porwały je napowrót rozwścieklone bałwany i jak łupinę orzecha przeniósły po nad miastem, po przez szyny kolei żelaznej wiodącej z *Arica* do *Tacna*. Do dziś dnia stoją zaryte w suchej ziemi w pośród łąnów koniczyny.

Uprzejmie przyjęty w domu Inżyniera jednej z fabryk żelaznych Paryża, spędziłem tam mile kilka godzin aż do odejścia pociągu do *Tacny*. Co za smutny obraz natury ogołoconej z tego wszystkiego, co zwykle jest jej ozdobą i urokiem. Po obu stronach kolei żelaznej płaskie, piaskiem pokryte błonia, sięgające od morza aż pod wspaniałe pasmo Kordylierów; nigdzie nie widzisz chaty, ani śladu człowieka, bo też tam niktby wyżyć nie mógł z braku wody, choć utrzymują niektórzy, że za czasu Inkasów pola te były uprawiane dzięki kunsztownym irygacyom, o jakich jak mówią, nie mamy nawet pojęcia. Sąsiadowi, co mi w wagonie o tem opowiadał, nie chciałem zaprzeczać, bo wiedząc o celu mego przyjazdu, byłby mnie posądził o stronność, a mój sposób myślenia nazwałby *jalousie du métier*; ale w duszy nie bardzo mi to trafiało do przekonania. Nareszcie po dwóch godzinach jazdy ukazuje się dolina *Tacny*; mijamy bujne sady przedmieścia i wjeżdżamy w miasto środkiem ulicy, rozpędzając zwyczajem krajowym jezdnych i pieszych bez pomocy strażników i policji,

O *Tacnie* bezstronnie mówić nie mogę, bo przyjęty serdecznie przez architekta Tadeusza Stryjeńskiego, prowadzącego tamże budowę kościoła katedralnego, widziałem wszystko w różowych kolorach; towarzystwo znalazłem wysmienite, ludność uczciwą i pracowitą, domy czyste i porządne. Miasto to jakkolwiek małe, przedstawia rzeczywiście pewne zalety wyjątkowe; najprzód że jest stolicą jednego z najbogatszych departamentów, mającą ciągle stosunki handlowe z *Boliwią*, a tem samem będącą siedzibą licznych władz krajowych i konsulatów zagranicznych; drugie, że jego ludność łączy w sobie rozmaite żywioły cudzoziemskie, których brakuje w innych miastach Rzeczypospolitej. Dlatego też *Tacna* trąci cudzoziemczyzną i może z tego samego powodu wydała mi się ruchliwszą i przyjemniejszą od czysto peruwiańskiej *Arequipa*, walczącej z nią o pierwszeństwo, choć nierównie większej i ludniejszej.

Pierwszy tydzień zeszedł mi bardzo prędko na przygotowaniu do podróży, na szukaniu: ludzi, mułów i żywności. Dzięki gorliwemu poparciu tutejszego Prefekta, człowieka postępowego i dbałego o dobro publiczne, zdołałem usunąć prędko wszystkie trudności i urządzić plan podróży w nieznanym mi naówczas kraju; dano mi nawet do pomocy inżyniera okręgowego, znającego doskonale owe okolice i mającego renomę doskonałego przewodnika. Zaopatrzywszy się więc w sprzęty niezbędnie potrzebne, jako to: w namioty, łóżka połowe, stoły i stolki składane, żywność, naczy-

nia kuchenne i aptekę, nazaczyłem wyjazd w góry na d. 7 września; pokazało się jednak przy podpisywaniu kontraktu z *arrierami* wynajmującymi mi konie i muły, że 7 września wyjechać nie można, bo wtorek jest dniem feralnym, a temsamem bardzo niebezpiecznym. Nadaremne były moje nalegania; wypadło odłożyć wyjazd na dzień następny. Zapominam jednak, że wyraz *arriero* jest ci nieznanym: oznacza on po hiszpańsku ludzi trudniących się przewożeniem ludzi i rzeczy na koniach lub mułach, co naturalnie ma olbrzymie zastosowanie w takim kraju jak Peruwia, gdzie niema prawie dróg wozowych. Rzemiosło to nadzwyczaj ciężkie, ale intratne i niezależne, przechodzi z ojca na syna i wytwarza prawie odrębną kastę ludzi wytrzymałych na deszcz, zimno i największe niewygody.

Już od świtu dnia następnego ulica zawałona końmi, ładowaniem skrzyń, worków i namiotów. Niktby nie uwierzył, z jaką łatwością i wprawą umieją *arrierowie* znaleźć środek ciężkości i ułożyć ciężary na grzbiecie muła w taki sposób, żeby nie przeważały ani na jedną ani na drugą stronę. A cóż dopiero mówić o tych rozmaitych sposobach wiązania sznurem ze skóry byczej, jużto układając go we czworo na *aparejo* (rodzaj siodła poprzęgiem ściągniętego) i przekładając oba końce przez utworzone tym sposobem pętle, to znowu kładąc go na krzyż pod brzuch i piersi bardzo systematycznie i racjonalnie. Robota to nader ważna i jak później widziałem dosyć trudna, bo

brak równowagi sprawia większą fatygę, kaleczy bydłę, albo nawet na ziemię obala przy najnniejszem potknięciu się, co naturalnie w miejscach przepaścistych jest bardzo niebezpiecznem. Wieleż to razy widziałem głębie przepaści posiane bielącemi się kośćmi tych ofiar ludzkiego despotyzmu.

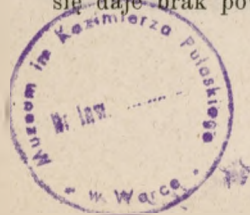
O godzinie dziesiątej na koń. Zostawiwszy za sobą muły juczne, ruszamy w towarzystwie Tadeusza Stryjeńskiego i kilku znajomych do *Haciendy* pułkownika J., jednego z pierwszych właścicieli ziemskich z okolicy. Folwark ten zwany *Piedra Blanca* leży o milę od *Tacna* na drodze do *Boliwii*, którą mi jechać wypadało; przyjąłem był więc ochoczo zaproszenie gospodarza, aby spędzić pod dachem gorące godziny południowe. Tu dopiero po raz pierwszy widziałem z bliska gospodarstwo wiejskie w Peru, ten prawdziwy dwór hiszpański ubrany w staroświeckie sprzęty, dziś już dobrze sponiewierane, ale noszące na sobie ślady dawnej piękności, której trudno się dopatrzeć w dzisiejszych salonach miejskich, meblowanych na sposób czysto europejski. Peruwianin lubi pozory, blask i zbytek na zewnątrz, ale w głębi obojętność na wygody i chędogość; wszędzie także przebija ten brak gustu, który cechuje człowieka cywilizowanego. Obiad nie bardzo smaczny, ale złożony z niezliczonej liczby potraw, następujących po sobie bez żadnego systemu i porządku, istna wieża Babel. Ale czem chata bogata, tem rada; to też pan domu wymawia swoje

ulubione *aji* (rodzaj mocnego pieprzu), które nam usta popiekło i zaprasza na owoce. Trzeba mu już oddać słuszną, że ma w swoim sadzie najpyszniejsze *chilimonie*, wielkości głowy Dziecięcej, rodzaj soczystej a słodkiej gruszy, przepyszne, *grenadilla* zawierające w swej łupinie ziarna ze smaku do porzeczek podobne, *palta* masło roślinne, *platano* itd., słowem całą wystawę owoców podzwrotnikowego nieba.

Czas już żegnać się i wyjeżdżać. Pod wieczór zmęczeni, doganiamy naszą karawanę, i w dwie godziny później stajemy w wiosce *Pachia* dla przepędzenia nocy. Nie ma tu oberży, ani zajazdu, ale nauczony już doświadczeniem, zajmuję pierwszy lepszy domek, przyrzekając wynagrodzenie i rozgaszczam się jak w domu swoim. Nazajutrz rano, jeszcze noc zalega zielone łąny *Fachii*, zapuszczamy się już w kręte wąwozy *Andów*; na przodzie przewodnik, za nim sztab naszej wyprawy, dalej służba i muły pędzone krzykiem arierów „mula“, którzy obwinawszy koło pięści długi rzemień trzęli, zaganiają to na prawo, to na lewo nieposłuszne zwierzę. Kierunek drogi północnowschodni, ciągle spinanie się po stromem podnożu Kordylierów. Po wschodzie słońca gorąco wzmaga się coraz więcej, a białe skały gór promieniają z taką siłą, że pomimo czarnych okularów nie mogą znieść ich widoku; wreszcie koło południa zatrzymujemy się w wąwozie *Palca* pod cieniem stromej góry, co nas oddziela od *Portada*. *Portada*, to tak zwane *establecimiento*, rodzaj

magazynu żywności dla podróżnych, istna oaza kordylierska, wzniesiona wyżej niż szczyty Tatrów ponad poziom morza. Kto nie odbywał tej drogi, nie może sobie wyobrazić, jak miłe wrażenie robi widok tej czystej gospody wpośród dzikich gór i przepaści. Wjeżdżamy główną bramą szeroką; dziedziniec obszerny, dom z trzciny i z *adobe*, to jest z niepalonych cegieł zlepionych błotem, tylko zamiast brytana u drzwi domu spostrzegam uwiązanego *leoparda* na łańcuchu, który jakkolwiek oswojony zjadł w kilka miesięcy później konia i został za to posłany na rekolekcyę do *Limy*, i zamknięty w klatce w tamecznym ogrodzie zoologicznym. Zwierzę to niewłaściwie może lwem lub leopardem nazywane, jest zupełnie po dobnie do dużego kota dzikiego i gnieździ się po skałach na wyżynach kordylierskich, czychając na wędrownie stada: wigunij, lam i alpak, a nawet rzuca się na konie, gdy przyciśnięty głodem zwęszy nocne koczowisko podróżnych. Ten jednak, o którym mówię, był tak ułaskawiony, że bawił się z małymi Indyanami, nigdy im nic złego nie robiąc, a wpadał dopiero w furę przy jedzeniu, nie dając się nikomu zbliżyć do siebie z wyjątkiem małego pieska, który miał przywilej wyciągać mu bezkarnie kość z paszczy.

Według mych pomiarów barometrycznych, robionych w dzień przyjazdu i później przez trzy dni co godzinę, *Portada* leży na wysokości 3650 metrów ponad poziomem morza; to też już czuć się daje brak powietrza, oddech zaczyna się utru-



dniać, a termometr zbliża się w nocy do zera, choć co prawda wrzesień jest jednym z najzimniejszych miesięcy w górach. Spędziwszy tam noc przyjemną, wyjeżdżamy na zajutrz o świcie. Droga nasza skręca się na wschód, jeśli godzi się nazwać drogą tę nędzną ścieżkę, na której w wielu miejscach dwa muły minąć się nie mogą, gubiącą się co chwila w dnje potoku, którego kamieniste koryto zajmuje całą szerokość wąwozu. I powiedzieć, że ta drożyna po dnje przepaści, po tych stopniach wykutych w skale kopytem końskim, to główny gościniec łączący z sobą dwie Rzeczypospolite: *Peru* z *Bolivią!* Tędy wiozą srebro i miedź z bogatych min: *Potosi*, *Oruro* i *Corocoro*, korę chinową z dziewiczych *montanna* boliwijskich, kokę i inne produkta, *Cochabamba* (Koczabamba), słowem znaczną część płodów środkowej Boliwii. Co chwila spotykamy karawany koni i mułów ładownych, a jeszcze częściej gromady lam jucznych z głowami do góry jak girafy, skaczące po skałach jak sarny i wpadające w osłupienie na widok nieznaney im twarzy. Pod strażą dwóch na pół dzikich Indyan Boliwijskich o miedzianej twarzy, ubranej we włosy splecione w warkocz, są już piętnaście dni w drodze, bo z *La - Paz* droga daleka, a lama nie może iść dłużej jak pięć godzin dziennie, choć dźwiga na sobie tylko 50 kilogramów ciężaru. Silna *machora* (maczora, samica) kosztuje tutaj dwadzieścia razy mniej, niż lichy muł, a użytek z niej wielki, bo pracuje

cierpliwie i daje niezłe mięso, jakkolwiek żywi się tylko korzonkami i wyschlą trawką górską.

Z rana wyjechaliśmy z *Portady*, chuchając w palce i wyciągając nogi z zimnych jak lód strzemion; teraz zaś, gdy słońce jest u zenitu, upał nicznośny. Termometr pokazuje + 32° Cels, skazówka aneroidu przechodzi już 4,000 metrów. Ustała już rozmowa, zmęczenie wzięło górę nad dobrą wolą. Już przed oczyma mamy *Huailillas de Potosi*, punkt najwyższy naszej drogi, a najniższy w całej tej części Kordyliarów, tworzy on bowiem siodło, to jest naturalne zagłębienie w grzbiecie długiego łańcucha gór; otucha też wstępuje w serce i pobudza do prędszej jazdy, ale muły nasze wolno stąpają, ich nozdrza wydęte nie mogą już zaczerpać dosyć powietrza; nadaremnie kłutbyś je ostrogami, nie ruszą z miejsca, póki nie wytchną należycie. Wreszcie koło godziny trzeciej z południa stajemy na szczycie drogi, podziwiając wspaniałą widnokragę roztaczającą się przed oczyma: na południe labirynt gór zmniejszających się coraz to więcej i ginących w płaskich błoniach wybrzeża, na północ to jest przed nami niezmierne równiny zamknięte sinemi gałęziami gór, nad głową czyste żadną chmurką niesplamione niebo *Andów*. Rzucamy ostatnie spojrzenie za siebie i skręcając z drogi boliwijskiej, spuszczaemy się wolno na owe łąki, stanowiące wyżyny kordyliarskie, a leżące w przecięciu na wysokości 4,300 metrów po nad poziomem morza. Tu właśnie miejsce naszych badań; ale

rzeka *Maure* odległa jeszcze o trzy dni drogi, a co najgorsze przedzielona od nas krętymi pasmami gór, wyrosłych na tym olbrzymim i płaskim szczycie *Andów*.

Od tego dnia zacząłem prowadzić życie czysto koczujące, pod namiotem albo przy ogniu, naprzemian w śniegu i w upale, czasem wpośród groźnych piorunów, a zawsze w najokropniejszym wietrze. Z początku jednak nie było obawy śniegu i deszczu, bo we wrześniu wiatr wieje od Oceanu Spokojnego i wstrzymuje chmury nadejgające od Boliwii, tylko mieliśmy przeciw sobie wiatr i mróz tak mocny, że z trudnością przychodziło ustawić namioty i utrzymać je w równowadze. Na obozowisko wybieramy naturalnie doliny jak najwięcej górami zasłonięte, ale nie zawsze udaje się znaleźć miejsce sposobne; bo trzeba mieć w pobliżu wodę dla koni i jakie takie pastwisko, a przytem nie oddalać się od miejsca pomiarów. Obóz stanowią cztery namioty; jeden wielki dla mnie z łóżkiem polowem, ze stołem i kilkoma stołkami, drugi mniejszy z trzema łózkami dla pomocników i dwa inne dla służby, robotników i kucharza; bo arrierowie sypiają osobno w domku na prędcie zbudowanym ze siodeł, podkładów i wołoków, a pokrytym skórami byczemi, któremi się obwiązuje ładunek muła dla ochronienia go od deszczu. Dobry namiot jest w tego rodzaju podróżach rzeczą nieocenioną, bo dobrze rozpięty i od dołu cokolwiek ziemią przysypany nie przepuszcza deszczu ani wiatru, a jest

tak lekki, że ich trzy naraz jeden muł unieść może. Kuchnię urządza się pod gołem niebem na rusztach położonych na kilku kamieniach; za materiał palny służy *tela*, krzew żywiczny, kruchy, krępowaty, *Quennua*, małe drzewko palące się na pniu z największą łatwością, a jeszcze więcej *yareta*, rodzaj olbrzymiej narośli, wewnątrz suchej i łupkiej jak próchno, a pokrytej ślizgim i równym kobiercem gwiazdek zielnych, przez które gdzieśgdzie wychodzą czyste jak łza krople żywicy. Jak myślę, *yareta* rośnie tylko w Kordylierach i to dopiero na wysokości 4,000 metrów mniej więcej; jest to materiał palny wyborny, łupie się bowiem w kawałki z wielką łatwością, jest lekki, zapala się wprost od zapalki i grzeje doskonale (później przekonałem się, że w *Tacnie* nie używają innego paliwa, choć sprowadzanie go z takich odległości niemało kosztuje).

Obozy nasze wyglądają w nocy dosyć fantastycznie. Wyobraź sobie cztery białe namioty ustawione na bokach czworoboku, którego środek płonący białym ogniem żywicy, rzuca jasne światło na płynący opodal strumień. Tu pasą się konie i wylegają się zmęczone muly, tam stós siodel o meksykańskich szerokich strzemionach, lasy tyczek z chorągiewkami, trójnogi teodolitów, tam znowu piramidy skrzyń, beczek i worków ustawionych pod głównym namiotem dla ochrony go od wiatru. Dodaj do tego dwudziestu pięciu krzątających się ludzi, najdziwaczniej ubranych: jedni w opończach kolorowych, szalach z wełny

wigunii; drudzy w indyjskich kubraczkach, grubych sukiennych spodniach, rozciętych z tyłu pozawszy od kolana; trzeci w watowanych sukniach europejskich z wełnianą czapką na głowie, zakrywającą całą tylną część głowy i uszy, w butach z sążnistymi ostrogami, brzęczącymi jak cały pułk huzarów, a będziesz miał wierny obraz naszego koczowiska. Cóż dopiero mówić o tej mieszaninie języków. Arierowie po hiszpańsku; Indyanie robotnicy jedni językiem *Aymara*, drudzy *Quichua* z sobą rozmawiają, nucąc od czasu do czasu swe smętne piosnki indyjskie przy akompaniamencie fletu, zrobionego z kawałka trzciny; ja z moimi pomocnikami po hiszpańsku i po francusku, a z inżynierem Niemcem po niemiecku szwargoczę, czasem zaś, gdy jestem w dobrym humorze po prostu po polsku Krakowiaka zaśpiewam. Raz nawet szukając czegoś w mym tłómaczku, znalazłem przeszłoroczny numer *Czasu* i byłem tak z tej niespodzianki uradowany, że na głos go przeczytałem razem z inseratami i nazwiskiem odpowiedzialnego wydawcy. Gdzieby się *Czas* kiedy spodziewał, że w wiecznych śniegach Kordylierów znajdzie tak gorliwego czytelnika.

Tryb naszego życia zawsze jednakowy, choć obóz zmieniamy co dni kilka w miarę, jak posuwamy się naprzód. Nie brak także codziennych wydarzeń, trudności i niebezpieczeństw. Za punkt wyjścia wybrałem wyschlę jezioro *Laguna Blanca*, leżące na północnym krańcu równiny zwanej *Pampa de Tacora*, a mające 7 kilometrów

długości, na 4 kilometry szerokości. Dnia 20 września zatknęliśmy pierwszy palik projektowanej linii kanału, a w dwa miesiące później idąc ciągle w górę ze spadkiem odpowiednim, rozbiliśmy namioty u brzegów rzeki *Maure*, wpośród gór niedostępnych, zamieszkałych przez niezliczone stada wigunii, której mięso do sarniego podobne, wynagradzało wspaniałomyślnie brak wołowiny. Jesteśmy już w listopadzie, burze coraz to częstsze ze śniegiem, gradem i piorunami, których blask ociemnia, a huk ogłusza. Nadaremnie chciałbym to opisać, nie potrafię przedstawić tej wielkiej a ponurej sceny. Wreszcie pod koniec listopada kończymy studia, tyżące się skręcenia rzeki *Chiliculco* do rzeki *Maure*, nie bez epizodów wszelkiego rodzaju, zakończonych niestety śmiercią jednego z mych ludzi, który wpadłszy do wody zaziębł się i w trzy dni później umarł zapewne wskutek braku należytej pomocy lekarskiej; nie można jednak było ani myśleć o odwiezieniu chorego do szpitala, gdyż znajdowaliśmy się wówczas o pięć dni drogi od Tacny. Wypadek ten zrobił między nami niemiłe wrażenie i ostrzegł o niebezpieczeństwie, jakim grożą te nagłe zmiany temperatury od + 26° Cels. do — 14° niżej zera w przeciągu 24 godzin. Codzień począwszy od godziny 10 do 1ej po południu upał jest nieznośny, koło godziny 3ej wieje zimny wiatr z Zachodu, a temperatura obniża się coraz więcej w miarę jak noc nadchodzi i dosięga swego maximum około godziny 4tej rano. W namiocie

szczelnie zamkniętym, w wełnianej koszuli, przykryty pięcioma kocami drżałem zawsze z zimna, zanim nie wypilem kilku filiżanek gorącej herbaty, którą zwykli byli podawać mi o świcie. O tej godzinie wszystko zamarznęte poczawszy od strumienia, który codzień motyką rozrąbywać trzeba, by gotować śniadanie, a skończywszy na atramencie w kałamarniu i winie w butelkach. To też chwila kładzenia się w łóżko i ubierania się rano jest prawdziwie *moment suprême* w Kordyliarach.

Niemile także wrażenie robi duszenie się w nocy w skutek braku powietrza. Doświadczaliśmy tego wszyscy; ja zaś wtedy tylko, gdy na wznak leżałem, budziłem się bez oddechu z mocnem biciem serca. Nie mogę sobie tego wytłumaczyć, gdyż tu w górach barometr zmienia się bardzo nieznacznie, tak że niema prawie różnicy między ciśnieniem dziennem a nocnym atmosfery. To rozrzedzone powietrze Kordyliarów męczy w dzień jeszcze więcej jak w nocy, bo nie można iść pięciu kroków pod górę bez zadyszenia się, wsiadanie na koń męczy, najmniejszy ruch, najmniejszy wysiłek odbiera oddech. Skóra łuszczy się na twarzy, zwłaszcza na nosie i rękach, wargi pękają, schną, twardnieją; patrząc w lusterko poznać się nie mogłem. Rok temu w pierwszej mej podróży do *Andów* gorzej jeszcze było, bo mi popuchły dziąsła i podniebienie do tego stopnia, że nic gryść nie mogłem, a krew zapełniała mi usta; teraz zaś skończyło się tylko na krwotokach z no-

sa, co jak mnie zapewniano, temu tylko zawdzięczyć należy, że wyjechałem w góry ze zdrowym żołądkiem. Mówią, że to warunek konieczny do uniknięcia *sorochi*. Zauważyłem także, że w nocy na tych wysokościach powietrze przepelnione jest elektrycznością, objawiającą się mocnym szelestem za najmniejszym poruszeniem sukni, kołdry albo włosów.

Życie nasze stawało się coraz to trudniejszym w miarę, jak oddalaliśmy się od *Tacny*, nie tylko z powodu powtarzających się często burz i gradów listopadowych, ale także wskutek trudności sprowadzania rzeczy potrzebnych dla nas i dla koni; na miejscu bowiem nic zgoła znaleźć nie można z wyjątkiem zwierzyny i ptactwa wodnego. Pomyśleć, że miałem do żywienia 23 konie owsem sprowadzonym z *Portady* o 4 dni drogi, bo na pastwiska liczyć nie można było, i 25 ludzi obdarczonych doskonałym apetytem, a każdy zrozumie, że nie łatwo było utrzymać nasze zapasy zawsze na jednej stopie. To też muły juczne zmęczone ciągłymi podróżami po tych górach i błoniach, podziurawionych jak sito przez kordylierskie krety *conejo* zaczęły już odmawiać posłuszeństwa, ludzie nasi zaczęli już tracić cierpliwość, bo śnieg i deszcze moczyły codzien do nitki; i mnie samemu zaczęło być przykrem to życie koczujące. To też z prawdziwą dla nas radością nadeszła chwila powrotu do *Laguna Blanca*, punktu środkowego pomiarów; 27 listopada dobiliśmy pod wieczór do rzeki *Chiliculco*, wyznaczwszy licząc

od „Jeziora Białego“ 135 kilometrów kanału; na-
zajutrz rano zwijamy namioty i kierujemy się na
wschód, jadąc wzdłuż rzeki *Maure* dla spotkania
drogi idącej z *Puno* do *Portady*.

Okolica tu równie dzika, jak w południowej
części równiny *Tacora*; wszelako gdzieś
w dolinach spotykamy ubogą chatkę indyjską
estancia bez drzwi i okien, zamieszkałą przez
napół dziką rodzinę pasterza lam i alpak. To sie-
dziba nędzy i pijaństwa, bo Indyanin miałem się
zadawałnia, byle tylko miał wódki poddostatkiem.
Pamiętam, że zajechawszy raz w mych poprze-
dnich podróżach po Kordyliarach do wioski *Asun-
cion*, położonej w dolinie *Rimac*, zastałem wszy-
stkich jej mieszkańców pijanych: kobiety, męż-
czyzn i dzieci; a miałem później sposobność
przekonać się, że w tym stanie pijaństwa żyli
dni dwadzieścia, aż póki nie wyczerpały się za-
soby. Indyanin tutejszy jest człowiekiem łago-
dnego charakteru, gdy jest trzeźwym, ale staje
się zwierzem po pijanemu; to też miewaliśmy
często niemiłe rozprawy, kończące się czasem
strzelaniem na postrach z naszych Winchester o
ośmiu kulach, które u Indyaninów wielkie budziły
poszanowanie. Wogóle mówią, że Indyanie są
ludzie źli i głupi; ja zaś jestem wprost prze-
ciwnego zdania. Niechęć, jaką okazują na wi-
dok białej twarzy, nieuczynność posunięta do
najwyższych granic i głębokie niedowierzanie, to
skutek owych prześladowań, których byli przed-
miotem nie tylko za czasów wicekrólów, biorą-

cych ich na tortury dla dowiedzenia się o kopalniach srebra i złota, ale i dziś jeszcze. Przyciśnięci czasem potrzebą musieliśmy gwałtem zabierać owce i lamy, nie zważając na prośby i błagania; ale na widok srebra, którem ich hojnie za to obdarzono, ustawały lamenty, a stosunki między nami były nadal bardzo przyjacielskie, bo przekonali się, że nie chcemy ich krzywdzić. Co się zaś tyczy pojętności i rozsądku, to nie widziałem jeszcze ludu tak rozwiniętego. Miałem w służbie kilku młodych Indyaninów nie umiejących słowa po hiszpańsku, ale tak domyślanych, że jeden z nich po kilku dniach roboty ustawiał teodolit z taką wprawą i zręcznością, że operator, któremu instrument ten był powierzony nie potrzebował prawie przykręcać szrubami, aby go do poziomu ustawić. Mają zaś szczególnie talent poznawania miejscowości, odkrywania śladów na ziemi i chwytania zwierząt żywych i ptaków, jak tego miałem dowody na sześciu strusiach, które mi przynieśli żywe, złapawszy je w pędzącem przed nami stadzie. Przyznam się, że dotąd nie myślałem, żeby strusie znajdowały się w Kordylierach.

Zapewniwszy się o możności sprowadzenia wód z rzeki *Maure* i *Chiliculco* do „jeziora Białego“, które postanowiłem uważać za wspólny zbiornik wszystkich wód okolicznych sztuczną drogą sprowadzonych, zostawało jeszcze zbadać rzeki *Putani*, *Cosapilla* i *Uchusuma*, płynące dwie pierwsze po stronie wschodniej, trzecia po stronie zachodniej

pomienionego jeziora. Nie tracąc czasu, zaraz na drugi dzień po noclegu u stóp śnieżnej góry *Tacory* zapuściliśmy się w dolinę, a raczej w wąwóz rzeki *Uchusuma* wznosząc się ciągle aż do jej źródeł, położonych na wysokości 4800 metrów po nad poziomem morza, to jest na wysokości szczytu najwyższej góry europejskiej *Mont-Blanc*. Spędziliśmy tam tydzień czasu wpośród najstraszniejszych wiatrów paraliżujących nasze pomiary topograficzne, w mrozie niedającym chwili spoczynku, odbierającym sen i energię. A jednak na tych stawach stanowiących początek rzeki żyją całe gromady kaczek i gęsi dzikich: czarnych, białych i różowych, hałasujących w nocy przeraźliwie i latających nieustannie, jak złe duchy nad lodowatą powierzchnią wody. Nad ranem mróz nie da wyleżeć w łóżku, termometr wiszący tuż nad naszą głową pokazuje — 16° Cels.; jeszcze przed świtem obwinieci w wełniane szale i koce podpalamy trawę i krzewy żywiczne rosnące tutaj w wielkiej obfitości, a palące się całymi łanami za zbliżeniem zapalki, jakby natura sama litowała się nad podróżnikiem. Najwięcej ze wszystkich cierpią arrierowie, bo w dzień zajęci zaganiemianiem mułów, pakowaniem i poprawianiem ładunków, wieczór rozładowaniem ciężarów, muszą jeszcze na przemian czuwać w nocy na pastwisku, gdyż często się wydarzało, że konie niemogąc wytrzymać zimna pomimo wołoków, któremi je okrycono, uciekały o mil kilka do miejsca niżej położonego i od wiatru zasłoniętego. Już to przyznać należy,

że muły a nawet tutejsze konie przyzwyczajone do podróży po górach mają doskonały instynkt orientowania się i pamiętania miejsc, w których jakiś czas przebywały; zdarzyło mi się nieraz, że wracając wieczorem z roboty, oddalałem się od mych towarzyszy, licząc na instynkt konia, bo sam niebyłem pewny drogi i że z lejcami opuszczonemi, przejechawszy góry i wąwozy, przybywałem pierwszy do obozowiska, które sobie zupełnie gdzieindziej wyobrażałem. Raz znowu zdarzyło się jednemu z mych pomocników, że zabłądził w drodze do obozu, który właśnie tego dnia w inne miejsce przenieść kazałem i że spędził noc na gołej ziemi o chłdzie i głodzie, niemając przy sobie nawet zapałki do rozpalenia ogniska; na domiar złego koń, z którego zdjął siodło i wołłoki, aby się nimi przykryć, uciekł w nocy do dawnego obozowiska, gdzie go w trzy dni później znaleziono. Była to noc prawdziwie awanturnicza, gdyż nas wszystkich opóźnionych szukaniem zabłądzonego ciemna noc zaskoczyła, a że nam miejsce nowego obozowiska nie było dobrze wiadomem, bom je tylko ogólnikowo określił, wskazując kierunek, w którym je obrać należy, więc jechaliśmy zupełnie na los szczęścia, paląc za sobą ogień i dając sygnały z rewolwerów i karabinów, aż wreszcie koło godziny 9ej spotkaliśmy Indyanina wysłanego z obozu dla wskazania nam drogi. Cóż to za radość widzieć się uratowanym od zimna i głodu; ale mamy jeszcze przed sobą trzy godziny drogi, bo w braku

wody nie można było robić bliżej namiotu. Przeziębli do szpiku kości, zmęczeni całodzienną pracą, zaczęliśmy już posądzać naszego przewodnika o jaki podstęp, a przynajmniej wmawiać w niego, że się omylił i że nas źle prowadzi, bo ani widać ognia, które zawsze wieczorem w obozie palić kazałem dla łatwiejszego oryentowania się w tym labiryncie gór i przepaści, ale łagodny Indianin odpowiada na to wszystko lakonicznie „No Sennor“, nie mogąc dać większych informacji, bo mówi tylko językiem *Quichua*, a po hiszpańsku bardzo mało rozumie. Wszystko jednak na tym świecie ma swój koniec. O godzinio 11ej w nocy właśnie gdyśmy się gramolili z jakiegoś bagna, w które konie nasze po brzuch wpadały, usłyszeliśmy głośny huk dynamitu, u-mówiony sygnał obozu.

Cóż ci mam więcej pisać o dalszym ciągu mej podróży po tych olbrzymich, granitowych, dziewiczych górach Kordylierów. Niwelacya rozpoczęta u brzegu „Jeziora Białego“, tak nazwanego od białego pokładu saletry, pokrywającej jego suche a płaskie dno, wykazała możebność skręcenia rzeki *Putani* na równinę *Tacora* za pomocą kanału 24 kilometry długiego. Zostawała jeszcze do zbadania rzeka *Cosapilla*, położona dalej na wschód jak *Putani*, a biorąca swój początek niedaleko sławnego wulkanu *Sahama* (drugiego pod względem wysokości w Ameryce, 6800 metrów), a tuż u podnóża dymiącego jeszcze wulkanu *Parinacota*, wznoszącego się majestatycznie, jak olbrzymia mogiła

śnieżna na 6700 metrów po nad poziom morza. Dla przyspieszenia pomiarów zagrożonych zbliżającą się zimą, rozdzieliłem naszą karawanę na dwie części, poleciwszy jednemu z mych pomocników studyum rzeki *Cosapilla*; sam zaś z drugą połową powróciłem na nowo do *Laguna Blanca* tym razem w celu szukania przejścia w Kordylierach dla odprowadzenia na wybrzeże wód w tymże jeziorze zgromadzić się mogących. Rozumiesz już z mego opisu, że całe nasze studia dążyły do sprowadzenia wszystkich wód okolicznych do wspólnego zbiornika, mogącego pomieścić w sobie wodę z różnych rzek a głównie z rzeki *Maure* pochodzącą i to tak w czasie posuchy jak i w porze roku deszczowej, a to mianowicie w celu przechowania zbytecznej wody, spływającej w czasie ulew aż do chwili posuchy i wypuszczania jej potem przez śluzy zawsze w jednakowej ilości, co naturalnie jest koniecznie potrzebnem w takim kraju jak Peru, gdzie ziemia rodzi cały rok bez różnicy. Na moje szczęście znalazło się pod ręką „Jezioro Białe,” doskonały zbiornik naturalny, zamknięty górami i o dnie nieprzemakalnem, choć z drugiej strony wystawiony na znaczne wyparowanie w skutek rzadkości powietrza (4180 metrów po nad poziom morza) i niezmiernych wiatrów tworzących tam ruchome trąby piasku o kilkusetmetrowej wysokości, udało się przeprowadzić linie kanałów sztucznych, wynoszących razem 160 kilometrów długości, bez potrzeby zakładania: akweduktów, mostów i syfonów; pokazało się tak-

że z licznych doświadczeń robionych na gruncie, że kanały te mogą sprowadzić w przecięciu do *Laguna Blanca* 10 metrów sześciennych wody na sekundę: słowem pierwsza część mej misyi została uwieńczona doskonałym skutkiem. Zostawało jednak do rozwiązania najtrudniejsze zadanie: otworzenia komunikacji wodnej między „Jeziorem Białem“ i miastem *Tucny*, dwóch miejsc oddzielonych od siebie owym długim łańcuchem utworzonym z gór: *Tacora*, *Huailillas de Potosi*, *Huailillas de la Paz*, a zniżającym się nieznacznie w miarę posuwania się ku południowi. Najniższy punkt grzbietu tego pasma, *Huailillas de Potosi*, znajduje się prawie na linii prostej łączącej „Jeziorko Białe“ z doliną *Tucny*; było więc rzeczą naturalną skierować się najprzód na Zachód aż do spotkania się z Kordyliera i zmierzyć długość tunelu w tem miejscu; później zaś wyszedłszy z *Laguna Blanca*, spuszczać się ciągle ku południowi u stóp zachodniego stoku, aż póki się nie znajdzie naturalnego przejścia; porównanie zaś obydwóch linii miało zawyrokować o ich względnej wartości. Ważną też było rzeczą oznaczyć ogólną pochyłość projektowanej linii, gdyż z jednej strony wiele na tem zależało, aby stracić jak najmniej na wysokości w przebiegu kilkunastu mil, które nas dzieliły od *Cordillera de la Costa*, a z drugiej znowu strony przyjęcie słabych spadków przepisanych przez najpoważniejszych hydraulików europejskich było niepodobnem, zważywszy na tutejszy grunt i na parowanie w rozrzedzonym

powietrzu, głównie zaś na nieustanne zamarzanie wody małą prędkością obdarzonej. Pomimo tego wszystkiego wypadki okazały się zadawalniające. Przeszedłszy w poprzek rzekę *Azufre*, tak nazwaną z powodu niezmiernej ilości siarki, jaką posiada, linia nasza oparła się po trzydziestu kilometrach drogi o zachodni stok góry *Huailillas de Potosi*, którą za pomocą tunelu 1400 metrów długiego przebić można; po drugiej zaś stronie pasma nie potrzeba już robić sztucznego kanału, bo głębokie a ciasne wąwozy prowadzą ztamtąd do doliny *Tacny* odległej jeszcze o kilkadziesiąt mil. Właśnie gdyśmy roboty te kończyli, złączył się z nami ów oddział, którym był wysłał dla zbadania rzeki *Cosapilla*, więc też po raz drugi od czasu wyjazdu w góry zostawiłem jeden dzień wolny od roboty, aby wypocząć cokolwiek i dać ludziom czas do wyprania sobie bielizny. Był to dzień bardzo przyjemny, gdyż widząc zbliżającą się chwilę zakończenia tej czteromiesięcznej wędrówki, każdy znosił śnieg i zimno z doskonałym humorem, podsyconym jeszcze u czeladzi nadmiarem wódki i wina, które w dzień tak świąteczny hojnie rozdać kazałem.

Później już zacząłem żałować tej szczodrobliwości, gdyż arrierowie i służba hurmem namiot mój otoczywszy, poczęli prosić o broń i o konie w celu urządzenia obławy na stado dzikich byków pasących się w okolicy; wiedziałem, że to niebezpieczne, ale dałem czego żądali, nie mogąc oprzeć się ich naleganiom. Zaczęło się więc polowanie

od odłączenia od stada jednego z byków, który z razu przestraszony strzałami, odzyskał wkrótce całą swą odwagę i rzucił się dzielnie na naszą kawalerję. Naturalnie każdy uciekał zawczasu, bo z bykiem nie ma żartów, ale stawał zaraz i dawał ognia, gdy tylko czuł się na bezpiecznem miejscu. Mocno ranione, przeszyte na wylot brzucha grubą kulą karabinową, z pyskiem pieniaćem i rozdartem nozdrzem silne to zwierzę broniło się jeszcze z pół godziny, to padając na ziemię z osłabienia, to wstając znowu po otrzymaniu nowej kuli i rzucając się z wściekłością na swych nieprzyjaciół. Już na włosku było życie mego majora, który dla brawury podsunął się w galopie pod samego byka i palnął mu w łeb z rewolweru; kula strzaskała szczękę, ale rozjuszony zwierzę jednym machnięciem rogów roztworzył brzuch koniowi, i byłoby się może gorzej skończyło, gdyby nowa kula nie była zważyła na ziemię niebezpiecznego przeciwnika.

Byliśmy już naówczas w drugiej połowie grudnia, a więc w pełni tej tak zwanej zimy Kordylierskiej, różniącej się od lata: burzami, śniegami i podniesieniem temperatury. Ustał już ów wiatr zachodni wiejący za czasu naszego przyjazdu do gór, więc też ołowiane, ciężkie chmury nadciągały swobodnie w kierunku od jeziora *Titicaca* i zalegały cały horyzont aż do pasma gór, które nas dzieliły od wybrzeża. Znajdowaliśmy się właśnie na granicy dwóch zupełnie innych klimatów: tu pioruny, grad, śnieg i zimno, z dru-

giej strony gór, w pół dnia jazdy: lazurowe niebo podzwrotnikowe, upał, słowem *costa*, wybrzeże. Na tę myśl każdy budził w sobie nową energię i robił wszystkie wysiłki, aby dostać się jak najprędzej do tego kraju obiecanego, gdzie go czekał spoczynek i wygoda; ale trudno było oznaczyć z góry czas potrzebny do ukończenia robót, bośmy szli na spotkanie nieznanego nam wąwozu *Camunnani*, który zdaniem trzech Indyan wystąpnych przed miesiącem dla zwiedzenia wszystkich możebnych przejść przez Kordyliery, miał się znajdować dosyć daleko w stronie południowej. Wieleż tam mieliśmy trudności przy przejściu tych przepaści o ścianach pionowych, zamieszkałych przez tysiące *biscachas* (rodzaj zająca), tych olbrzymich ruin skalistych, świadczących o potędze piorunów i trzęsień ziemi. W miarę jak posuwamy się na południe brak wody, strumieni i źródeł coraz więcej czuć się daje; ztąd też obozowiska nasze wypadają daleko od linii i wystawiają na stratę czasu. Ale dnia 24 grudnia w samą wilię Bożego Narodzenia ujrzeliśmy tak długo oczekiwaną *Abra de Camunnani*, to jest początek wąwozu tegoż nazwiska, tworzącego w tem miejscu siodło tak głębokie, że linia nasza pomimo znacznego obniżenia się popod poziom „Jeziora Białego“ przechodzi tamtędy na drugą stronę Kordyliery pod gołym niebem.

Tego dnia pamiętnego, kiedy właśnie po raz ostatni wracaliśmy z roboty do obozu, bo już nazajutrz mieliśmy zabierać manatki i zjeżdżać

z gór przez *Camunnani*, zdarzył się nam znowu przypadek zabłądzenia w tym labiryncie skał, ale tym razem z mej własnej winy, bo zamiastjechać za robotnikami, którzy po większej części Indyanie mieli wiele zmysłu do poznawania miejscowości, zapuściliśmy się we czterech w koryto strumienia płynącego, jak się nam zdawało wprost od naszego obozowiska. Słońce miało się właśnie ku zachodowi i rzucało swe żółtawe światło na fioletowe, różowe i białe konary gór pelzających się jak węże po dzikiej skalistej równinie, którą nazajutrz przejechać mieliśmy; śpiewając, dowcipkując nasycaliśmy się po raz ostatni swobodą życia górskiego, przeczuwając, że wkrótce to romantyczne, awanturnicze życie stanie się wspomnieniem i przeszłością; nikt nie zwracał uwagi ani na wznoszące się coraz to wyżej ściany skał otaczających, ani na tamujące drogę naszą zapory, bagna i kamienie; aż dopiero gdy noc zapadła, gdy konie ślizgając się po gładkiem dnie strumieni padają, straszą się i posłuszeństwa odmawiają, zaczynamy dopiero zastanawiać się nad grożącym nam niebezpieczeństwem. W istocie położenie nasze było dosyć krytyczne: jesteśmy w wodzie, w głębi wąskiej przepaści zamkniętej, po obu stronach niedostępnymi skałami o ścianach prawie pionowych, wznoszących się jak mury olbrzymiej fortecy na wysokość kilkunastu piąter; ciemność zupełna, nad głową chmury, w jamach rozpadlin może dzikie zwierzęta, w błocie może jaszczurki lub węże. Podjeżdżamy dalej znęceni

szumem wody spadającej i stajemy na suchym kawałku ziemi, pokrytym trawą kordylierską, rosnącą tam tak bujnie, zapewne wskutek dostatecznej wilgoci, że zakrywa jeźdźca z koniem. Naturalnie bez chwili namysłu podpalamy ją w nadziei, że blask światła zwróci uwagę w obozie, który już blisko znajdować się musi; bucha wspaniały biały ogień słomy żywicznej, przy jego blasku szczyrby skał granitowych rysują się na ciemnym tle cieniów nocnych w tysiące fantastycznych kształtów, jakby rzeźby czarodziejskiego zamku, przed nami pieniały się wodospad drogę naprzód tamuje, my sami jakby zbrojcy w kolorowych opończach, z pistoletami w olstrach a z strzelbą na ramieniu.

W milczeniu podziwiamy ten prawdziwie piękny widok, ale światło gaśnie niebawem, zalewa nas ciemność jeszcze straszniejsza, a cisza przzerwana tylko rżeniem koni i szumem strumienia przekonywa nas o zupełnem zabłądzeniu. Ale cóż robić; wracać niepodobna, boby to było narażać się na skręcenie karku przy zjeżdżaniu z tych ślizgich głazów, po których jak po wschodach wznosimy się już od dwóch godzin; trzeba więc jechać naprzód, a przedewszystkiem wspinać się na zaporę tamującą nam drogę. Niebardzo mi się to szczęśliwie udało, gdyż przy tem ćwiczeniu gimnastycznym koń uderzył mną o skałę i nogę mi skaleczył, ale koniec końców w godzinę później wygramoliliśmy się z tej dziury na powierzchnię

gruntu i po godzinnem błakaniu się jeszcze po górach, usłyszeliśmy nareszcie sygnał z obozu.

Nazajutrz zrana wyjazd ku *Tacna*. Przez skalistą płaszczyznę, którą mamy pod nogami, prowadziła widocznie za dawnych czasów droga ku wybrzeżu, bo w nagiej, równej jak stół skale widziałem bardzo widoczny ślad szerokiej ścieżki, a nawet w jednym miejscu wrytą strzałę i wizerunek człowieka. Teraz tedy nikt zgoła nie jeździ, trudno więc przypuścić, by te ślady ludzkiego pobytu miały być nowoczesnego pochodzenia; zresztą drożyna ta ginie zupełnie w wąwozie *Camunnani*, którym spuszcza się z wolna i ostrożnie, rozładowując czasem muły w miejscach ciasnych, przez które ledwie luzem idący koń przesunąć się może. Wody tam brak zupełny; to też rozbiwszy wieczorem namioty, kopie my studnię, ale wody zaledwie wystarcza do kuchni; biedne konie i muły zmęczone całodzienną drogą muszą jeszcze wytrzymać 24 godzin bez wody, bo, jak mi mówią przewodnicy, dopiero jutro pod wieczór znajdziemy źródło w pierwszym przez ludzi zamieszkałym miejscu, zwanem *Vinna* od winnic, które tam uprawiają. Jakoż dostawszy się nazajutrz do strefy kaktusów kwitnących na rozpalonym gruncie doliny, ujrzeliśmy przejeżdżając przez kablak góry zielony punkcik na żółtawem tle gór roztaczających się pod nogami. Dalej, głęboko w dole rozciąga się płaskie wybrzeże Peruwii, z którego widzę wyrastające korzenie tego olbrzymiego pnia Kordylierów, jeszcze

dalej w głębi Ocean Spokojny ginący w niebieskim sklepieniu nieba. Nie myślałem nigdy, żeby było można bez pomocy balonu osiągnąć jednym rzutem oka tak olbrzymią przestrzeń: morza, puszczy, i łańcuchów gór, rozpostartych u stóp widza jak sztuczna panorama. Pod wieczór wjeżdżamy do *Vinna*. — *Vinna* to mały folwark położony w dolince nad brzegiem strumienia, któremu zawdzięcza swe winnice. Nie umiem Ci opisać miłego wrażenia, jakie zrobił na mnie i na nas wszystkich widok tego ubogiego domku, ukrytego w cieniu zielonych drzew owocowych; dosyć powiedzieć, że rozkoszując się łagodnym powietrzem nocy, zrzuciwszy z siebie ciężkie ubranie zimowe, spędziliśmy noc całą na pogadance, przerywanej ciąglem unoszeniem się nad przyjemnością życia w klimacie tak lubym jak *Vinna*, który jednak mówiąc nawiasem nie różni się niczem od klimatu *Tacna* i innych miejsc wybrzeża peruwiańskiego. Ale wszystko jest względne; więc też i nam przemarzłym, zdziczałym *Cerranos* wydało się to miejsce rajem, ósmym cudem świata.

Spędziliśmy tam dzień cały na rozpatrywaniu doliny i jej kierunku, co mię też utwierdziło w tem mniemaniu, że droga przez *Camunnani* jest pod każdym względem nieodpowiednia celowi, i że przewiercenie tunelu przez górę *Huailillas de Potosi* ma być warunkiem *sine qua non* projektowanego kanału. Nie wachając się też dłużej, przekroczyliśmy grzbiet gór dzielący nas od doliny *Molles* i dnia 2 stycznia w południe klusowaliśmy

już po piaszczystych błoniach wybrzeża, zalanych fantastycznemi jeziorami wód zwodniczych, zawsze uciekających, a nigdy niedostępnych. Wspinała to *fata morgana*. Tegoż dnia po czterech miesiącach życia na szczycie Andów, ujrzałam znowu miasto *Tacnę*, ludzi i cywilizację

